

SARA PENNYPACKER

# PAX

ILUSTRACJE JON KLASSEN

SARA PENNYPACKER

# PAX

ILUSTRACJE

JON KLASSEN

Przełożyła Dorota Dziewońska



*Od autorki: Lisy porozumiewają się za pomocą skomplikowanego systemu dźwięków, ruchów, zapachów i innych środków ekspresji. „Dialogi” zapisane pismem pochylonym w rozdziałach przedstawiających punkt widzenia Paxa próbują oddać to, co lisy wyrażają swoim rozbudowanym językiem.*

Tytuł oryginału

*Pax*

Text copyright © 2016 by Sara Pennypacker

Illustrations and jacket art copyright © 2016 by Jon Klassen

Jacket design by Dana Fritts

All rights reserved.

Copyright © for the Polish translation by Dorota Dziewońska, 2016

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo IUVI, 2016

Opracowanie redakcyjne i DTP

*Pracownia Edytorska „Od A do Z” (oda-doz.pl)*

Redakcja

*Katarzyna Kolowca-Chmura*

Korekta

*Katarzyna Kierejsza*

DTP i opracowanie graficzne okładki

*Stefan Łaskawiec*

Wydanie I, Kraków 2016

ISBN 978-83-7966-028-5

**IUVI**

[www.iuvi.pl](http://www.iuvi.pl)

[www.facebook.com/WydawnictwoIUVI](https://www.facebook.com/WydawnictwoIUVI)

[biuro@iuvi.pl](mailto:biuro@iuvi.pl)



**W**chodzisz czy nie, bo muchy wlatują!  
Peter opuścił plecak. Podparty na kulach odnalazł punkt równowagi i wpatrywał się w drewniany dom.

– Te drzewa rosły tutaj.

To nie było pytanie, ale Vola skinęła potakująco głową i wskazała na wzgórze.

– Świerk. Z tego grzbietu. Jak drewniane klocki... o tym myślisz?

– Tak jakby. – Ale nie była to prawda. Peter wyciągnął rękę, by dotknąć jednego z bali. Jakie to uczucie zrobić coś tak... tak doniosłego? Ścinać drzewa i patrzeć, jak

spadają na tle czystego błękitnego nieba, toczyć je na polanę, czuć, jak dłonie kleją się od żywicy o intensywnym zapachu, a potem ułożyć je na miejscu, nacinać, kłaść jeden na drugim... tak jak klocki, którymi najchętniej bawił się w przedszkolu, te stare w wysokim kartonowym pudle... żeby w końcu powstał *dom*. – Pani go zbudowała?

– Nie. Już tu był. No, wchodź. Nie mam całego dnia.

Peter wciąż się nie ruszał.

– Jakie to warunki? Mówiła pani, że dowiem się, kiedy tu dojdziemy.

Vola westchnęła i postawiła stopę na granitowy kamień tworzący pierwszy stopień schodów. Puściła zewnętrzne siatkowe drzwi. Podniosła słoik z nasionami i natychmiast otoczyła ją chmara ptaków z okolicznych drzew. Napełniła karmnik zawieszony na narożnej krokwii, po czym obróciła się twarzą do Petera.

– Po pierwsze, nie chcę, żeby ktokolwiek tu przychodził. Nie bez powodu żyję samotnie. Napiszesz do dziadka, cokolwiek przyjdzie ci do głowy, bylebym miała pewność, że nikt się tu nie zjawi. Zresztą i tak powinienś powiadomić rodzinę, że żyjesz, a nie leżysz martwy w jakimś rowie.

Peter cofnął się tak gwałtownie, że omal się nie przewrócił. Wywołał tym ruchem ostry ból w stopie, ale tylko zagryzł wargę i zaraz powiedział:

– Nie. Przyjechałby tu po mnie. Nie.

– To pierwszy warunek. Nie podlega negocjacom.

Nabrała ziaren ze słoika i wyciągnęła otwartą dłoń. Od razu na jej palcu usiadła sikorka. Kiedy wydziobała wszystkie ziarna, wzbiła się w powietrze, przepłoszona ruchem ręki Voli. Kobieta zwróciła się do Petera:

– Po drugie, powiesz mi, po co nosisz tę bransoletkę.

Chłopiec spojrział na swój plecak i poczuł ścisnięcie serca na myśl, że miałby zdradzić swoje prywatne sprawy.

– Czemu?

– Bo mnie zaciekawisz. I wiele można się dowiedzieć o żołnierzu na podstawie tego, co zabiera ze sobą na wojnę.

– Ale nie jestem żołnierzem. Ja tylko idę do domu.

– Czyżby? A mnie się wydaje, że wyruszyłeś walczyć o coś w miejscu, gdzie toczy się wojna. Ale niech ci będzie, nie jesteś żołnierzem. Warunek drugi i tak pozostaje w mocy: kiedy zapytam, powiesz mi, dlaczego zabrałeś ze sobą tę bransoletkę. Dlaczego akurat to. Prawda to zasada, której się tu trzymamy. Zgoda?

Peter skinął głową. Jego prawa stopa pulsowała intensywnie, lewa noga bolała od zwiększonego obciążenia, koszula była przemoczona od potu po przekuśtykaniu niecałych stu metrów od szopy do domu, lecz on się nie poddawał.

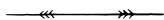
– A po trzecie?

– Pomożesz mi w czymś. Nie patrz tak na mnie. Nie martw się, potrzebuję drugiej osoby do realizacji czegoś, to wszystko. Ale jeszcze nie mogę ci powiedzieć, co to jest. – Podniosła jego plecak. – Do środka. Czas odciążyć twoją stopę. I podejrzewam, że jesteś głodny, panie nie do końca uciekający z domu Peterze bez Kija.

Nagle Peter poczuł silny głód. Mimo to wciąż się wahał. Obrócił się, by spojrzeć na góry, które w blasku słońca miały przydymioną niebieską barwę. Gdzieś tam był Pax. Wciąż zbyt daleko.

Vola podeszła do niego z tyłu. Poczuli jej dłoń na ramieniu.

– Wiem, o czym myślisz – powiedziała. – Ale jeszcze nie jesteś w stanie iść.



W chacie było jasno i delikatnie pachniało dymem. Vola stuknęła w blat sosnowego stołu i Peter usiadł. Otuliła go kocem, po czym wyszła i po chwili wróciła z torebką foliową pełną kostek lodu. Umieściła jego stopę na krześle i obłożyła lodem. Lnianą ściereczką starła krew z jego dłoni. W końcu podała mu deskę do krojenia z leżącymi na niej chlebem i nożem.

Peter położył ją przed sobą.

– Jak długo to potrwa?

– Zależy od ciebie. – Wskazała na chleb. – Co to? Rąk też nie możesz używać? Pokrój.

– Jak długo?

– Będziesz mógł iść, kiedy dasz radę maszerować po nierównym terenie na tych kulach osiem godzin dziennie. Około dwóch tygodni, jak sądzę. Sześć kromek.

– Pani nie rozumie. On nie przeżyje!

Vola opuściła głowę i spojrzała na niego ze złością. Gwałtownym ruchem uderzyła kciukiem w ścianę za jego plecami.

– Numer jedenaście.

Peter obrócił się. Na ścianie wisiała cała masa kart katalogowych.

– „Prąd Zatokowy przepłynie przez słomkę, jeżeli owa słomka będzie ułożona zgodnie z kierunkiem prądu, a nie przeciwpądów” – przeczytał na głos tekst z kartki z napisaną na niej liczbą 11. – Co to ma znaczyć?

– To znaczy, że należy się odpowiednio ustawić.

– Ustawić?

– Zorientować się, jak sprawy stoją, i pogodzić się z sytuacją. Masz złamaną stopę. Złamaną. Umowa polega na tym, że zostajesz tu, dopóki nie stwierdzę, że jesteś gotów do drogi. Mówiłam ci, że mojego sumienia



nie wzruszysz. Masz więc wybór: zostać tutaj, dopóki nie pozwolę ci odejść, albo już teraz wracać do dziadka. Zmieniłeś zdanie w tej sprawie?

– Nie, ale...

– Czyli zgadzasz się, he? A teraz pokrój ten *djableman* chleb.

Peter próbował jeszcze dyskutować, lecz w końcu zamilkł. Nie miał zamiaru zostać tu na dwa tygodnie, ale bycie posłusznym i przydatnym wydawało się w tej sytuacji najbezpieczniejsze.

Pochylił głowę nad chlebem i zaczął kroić sześć grubych, równych kromek, podczas gdy Vola wrzuciła kawałek masła na żeliwną patelnię i zapaliła pod nią ogień. Nie oglądając się, kiwnęła ręką w kierunku półki nad blatem.

– Wybierz coś sobie.

Słoiki z przetworami ustawione w trzech szeregach lśniły niczym tęczą płynnych klejnotów rozciągnięta na całej długości półki. Peter czytał drukowane litery na etykietach: WIŚNIE, ŚLIWKI, POMIDORY, CZARNA JAGODA, JABŁKA, DYNIA, GRUSZKI, ZIELONY GROSZEK, BURAKI, BRZOSKWINIE. Za półką zwisały korale suszonego czosnku i małych papryczek.

– Pani to wszystko uprawia?

Vola skinęła głową, wciąż zwrócona do niego plecami.

– Te drzewa wzdłuż kamiennego murku, te kwitnące,  
co to jest?

– Przy samym murku? Brzoskwinię.

Wskazał słoik na końcu.

– Brzoskwinię – powiedział. – Poproszę.

Vola otworzyła słoik i podała mu widelec.

– Eee... tu jest jakaś gałązka czy coś.

Vola sięgnęła do słoika, włożyła patyczek do ust, wyssała z niego syrop i wrzuciła patyk do zlewu.

– O Boże. – Wywróciła oczami. – To cynamon. Jedz.

– Spojrzała z uznaniem na pokrojony przez niego chleb.

– Jaki ser: cheddar czy szwajcarski?

– Chyba cheddar.

Vola wyprostowała się.

– Chyba? To nie wiesz na pewno?

Wzruszył ramionami i nabrał na widelec kawałek brzoskwini. Smakowała tak złościście i słonecznie, jak wyglądała.

Vola sprawiała wrażenie, że chce jeszcze coś powiedzieć, ale zacisnęła usta, obróciła się na drewnianej nodze i wybiegła tylnymi drzwiami. Po chwili wróciła z kawałkiem sera i bez słowa zabrała się za robienie grzanek. Peter słyszał, jak skwierczą, gdy dociskała je do rozgrzanej patelni.

Rozejrzał się po wnętrzu chaty. Nie było duże, ale też nie brakowało tu miejsca. Słońce wpadało przez czyste okna, zalewając drewniane ściany miodowym blaskiem. Przy kamiennym kominku stały dwa fotele w niebieskie paski, a między nimi zasypany książkami pień, który służył za stolik. Na małych beczkach ustawione były lampki, z belek pod dachem zwisały kolejne.

Półka kominka była wypełniona zdjęciami, na ścianach wisiało kilka obrazów, a obok fotela stał koszyk z włóczką. Przez otwarte drzwi przy kominku Peter dojrzał krawędź łóżka schludnie okrytego kapą w żółtą kratę. To był zaskakująco normalny dom jak na wariatkę, ale czegoś tu brakowało. Wtedy chłopiec zauważył, jak tu cicho – właściwie żadnych dźwięków poza śpiewem ptaków na zewnątrz i masłem skwierczącym na patelni – ale nie o to mu chodziło. Niezupełnie.

– Zaraz – powiedział, gdy nagle go olśniło. – Tu nie ma prądu.

Kobieta obróciła grzanki.

– O ile mi wiadomo, to nie jest przestępstwo w tym kraju. W każdym razie jeszcze nie.

Peter próbował ułożyć sobie w myślach, co by stracił, gdyby żył bez prądu, ale było tego za wiele. Wyłowił ostatni kawałek brzoskwini i widelec brzęknął o pusty

słoik. Vola wciąż była do niego odwrócona plecami, więc podniósł słoik, żeby wypić syrop.

– Ale zaraz... Skąd pani bierze lód?

– Mam lodówkę na tarasie. Na gaz. Tak samo kuchenkę i ogrzewanie wody. Mam wszystko, czego potrzebuję. – Położyła na stole dwa niebieskie talerze. Zapach jedzenia sprawił, że Peterowi ślina napłynęła do ust. Czekał jednak, bo czuł, że Vola jeszcze nie skończyła. – Mam nawet więcej, niż potrzebuję. – Usiadła. – Mam tu spokój.

– Bo jest tak cicho?

– Nie. Bo jestem dokładnie tu, gdzie powinnam, i robię dokładnie to, co powinnam. To jest spokój. Jedz.

Peter wgrzył się w grzanekę. Ser był gorący, ciągnący się, chleb przyrumieniony i chrupiący.

Z przyzwyczajenia odłamał kawałek i już miał opuścić rękę, kiedy przypomniał sobie, że pod stołem nie ma lisa. Pomyślał o tym, czy Pax tęskni za nim tak samo mocno jak on w tej chwili za swoim liskiem.

– Nie czuje się pani tu samotna?

– Spotykam się z ludźmi. Bea Booker, bibliotekarka. Robert Johnson, kierowca autobusu. Mam... widuję ludzi.

– Wstała, przyniosła patelnię i nałożyła kolejną grzanekę na jego talerz. – Jedz.

Peter jadł, myśląc o tym, co powiedziała o spokoju. Kiedy skończył, zlizął okruchy z palców.

– Co to znaczy, że robi pani dokładnie to, co powinna? Pracuje pani?

– Jasne, że pracuję! Ten ogród ma dwadzieścia arów, a sad dwa razy tyle. Dzisiaj będę sadzić fasolę i okrę. Może się zabiorę za wymianę uszczelki w pompie studziennej. Zawsze jest tu mnóstwo roboty.

– Ale nie ma pani pracy zawodowej, nie zarabia pani pieniędzy? Jak kupuje pani rzeczy? Na przykład wszystkie te narzędzia w szopie? Albo... – rozejrzał się po wnętrzu chaty – to wszystko?

Vola oparła się o blat, a potem wyciągnęła przed siebie drewnianą nogę i stuknęła w nią łopatką.

– Mój kraj płaci mi co miesiąc małą rekompensatę za tę nogę.

Wrzuciła łopatkę do zlewu i potrząsnęła głową.

– *Djableman* transakcja... Okazuje się, że moja noga nie miała dla nich wielkiej wartości. Szkoda, że nie powiedzieli mi tego wcześniej, zanim wysłali mnie na zwiad na pole minowe. Bo ja lubiłam swoją nogę. To była dobra noga, może nie jako obiekt podziwu, ale działała, jak trzeba. Zniosła mnie do sąsiedniego miasteczka, kiedy Deirdre Callanan i ja podpaliłyśmy szopę jej ojca w szóstej klasie, skopała uśmiech z facjaty Henry'ego Valentine'a, kiedy rok później próbował mnie złapać za tyłek. Służyła

mi, jak mogła. Noga to ogromna cena. Nie ma dnia, żebym nie marzyła o jej odzyskaniu.

– Dlaczego nie ma pani takiej, która by lepiej...?

Kobieta znowu wystawiła nogę i podwinęła nogawkę, odsłaniając drewniany kołek.

– Dali mi protezę... skomplikowane urządzenie. Sam wygląd diabelnie mnie przerażał. Zrobiłam więc sobie własną. Jest ciężka i toporna, ale na wojnie robiłam straszne rzeczy. Myślę, że zasłużyłam na to, żeby wlec ze sobą coś takiego.

– Wyrzuciła ją pani? Protezę? Tak po prostu ją pani wyrzuciła? – Peter wyobraził sobie zdumioną minę kogoś, kto zbiera śmieci.

– Nie, pewnie że nie. Noszę ją. Czasami. Teraz jest w ogrodzie jako strach na wróble. Najwyraźniej przeraża ptaki tak samo jak mnie.

Odsunęła się od blatu i wcisnęła na głowę zniszczony słomkowy kapelusz, jakby nagle sobie przypomniała o pracy w ogrodzie.

– Wróć przed zmierzchem. Ubikacja jest za tymi dwoma cedrami, a w kuchni jest wanna. Wymyj się. Możesz używać całego tarasu. Właściwie to będziesz musiał się podzielić miejscem z François. Trzymaj nogę w górze.

– Kim jest François?

Krótkie szczeknięcie oznaczające śmiech Voli ponownie przeraziło Petera. Kiwnęła głową w stronę tylnych drzwi, prowadzących na taras.

– Pewnie już gdzieś tam drzemie, leniwy stary złodziej. – Podeszła do drzwi, wyrzała i pokiwała głową.  
– Chodź, zobacz.

Peter wstał z krzesła i wsparł się na kulach. Vola przytrzymała drzwi i ruchem ręki wskazała pojemnik na drewno. Peter zobaczył parę wpatrzonych w niego oczu w ciemnej otoczce. Wygiął szyję, żeby mieć lepszy widok, a wtedy szop przechylił łebek, jakby go naśladował.

– Oto François Villon, nazwany tak od jednego z naj-słynniejszych złodziei w dziejach świata. Ten prawdziwy był poetą i miał taki urok, że za każdym razem kiedy go aresztowali, jakiś wielbiciel go ułaskawiał.

Peter uśmiechnął się szeroko. Kucnął, żeby lepiej się przyjrzeć.

– Hej, czu, czu, czu! – zawołał łagodnie, tak jak co rano witał Paxa. Szop przez chwilę gapił się na niego leniwie, a potem najwyraźniej uznał go za mało interesujący widok i zamknął oczy.

– Jest dziki czy oswojony?

Vola wykonała ruch ręką, jakby odganiała namolne komary.

– Zostawiam drzwi na taras otwarte. Wchodzi sobie, kiedy chce, i nieżył z niego kompan. Karmię go, ale nie muszę, bo sam dobrze sobie radzi. Mamy porozumienie co do kurnika: on zostawia moje kury w spokoju, a ja raz na jakiś czas daję mu jajko. Jest kompanem. To najlepsze słowo.

Pokazała mu belkę biegnącą pod sufitem.

– Jutro możesz się kilka razy podciągnąć. Ale dzisiaj oszczędzaj nogę i trzymaj ją w górze, najlepiej powyżej serca. – Wskazała lodówkę. – Co jakiś czas okładaj ją lodem. Chcę, żeby opuchlizna trochę zmaląła, żebym mogła dzisiaj założyć gips. Co kilka godzin wymieszaj sobie łyżkę kory wierzby z wodą. To zmniejszy ból.

Peter pokiwał głową, a potem wyczerpany położył się na hamaku zawieszonym pod belkami.

Vola już wychodziła, lecz jeszcze zatrzymała się w drzwiach i obróciła, by spojrzeć na niego z uwagą. Skrzyżowała ręce na piersi, jej twarz przybrała tajemniczy wyraz.

– Co?

– Tak się zastanawiam – powiedziała. – Leżysz tu na tarasie. Jak myślisz, o czym to świadczy? Jesteś dziki czy oswojony?